się wydaje, z łacińskim słowem „fatuus", które oznacza — głupi. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę, ponieważ w większości przypadków dzieci autystyczne nie są pozbawione rozumu. Po prostu one się nie potrafią odnaleźć w rzeczywistym świecie, ponieważ ich spostrzeganie jest jakby rozregulowane. Z jakiego powodu? Właśnie na to nauka nie umie jeszcze odpowiedzieć, ale z pewnością znajdzie odpowiedź w najbliższej przyszłości.

W każdym razie istotne jest to, że mogą one pogrążać się w upośledzeniu umysłowym, jeśli nikt nie stara się zapewnić im wychowania za pomocą odpowiednich metod. Potrzebują tego tak samo jak inne dzieci, które mogą chodzić do szkoły. Jeśli chodzi o stosowane metody, to wiążą się one z umiejętnością właściwego postępowania i ze sztuką, tak jak medycyna jest sztuką, która wymaga intuicji — i miłości. W otoczeniu dającym poczucie bezpieczeństwa wszystko można z tymi dziećmi zdziałać. Lecz szarlatani mogą je zabić.

Od bardzo dawna Irlandia była zamieszkiwana przez „Good People" (Dobry Lud) i przez Irlandczyków[1]. Dobry Lud mieszkał wszędzie, lecz prawdę mówiąc znajdował się bardzo blisko ludzi. Mieszkańcy kraju bardzo często mogli widzieć „Good People", przeważnie z daleka, w niebieskich, białych, czerwonych i zielonych ubraniach albo jeszcze innych, chociaż nie musiała to być wcale sprawa mody.

Te trzymające się na uboczu istoty przychodziły do ludzi w sytuacjach, które postaramy się przeanalizować. Zdarzało się, że z kolei one zapraszały ludzi pojedynczo do swych domostw, lecz zdarzało się także, iż wciągały ich tam siłą lub podstępem.

Mieszkają one na wzgórzach nie wyróżniających się malowniczością, lub w ruinach zamków, jakie często zdarza się widzieć na horyzoncie w różnych okolicach, czasami nawet mogą mieszkać w jakiejś stodole, jak o tym donoszą ci, którzy patrzą, aby niczego nie widzieć. We wnętrzu ich pomieszczeń znajdują się obszerne sale i wiele cudownych rzeczy. Można o tym usłyszeć od osób, które dokładnie opisały swój pobyt tam i swój powrót. Pewna położna spędziła aż siedem lat u „Good People" (tam a może gdzie indziej, po co zresztą wątpić w to?). Najbardziej narażone na takie podróże są położne i karmiące matki. Pierwsze są wzywane ciągle, aby pomagać kobietom przy porodzie i muszą pokonywać duże odległości, przemierzając okolice ciemne i wrogie, gdzie możliwe są rozmaite nieprzyjemne „spotkania". Otóż wróżki także mają dzieci, odczuwają tak jak każda kobieta potrzebę pomocy podczas porodu i pragnęłyby, aby ich niemowlęta otrzymywały dobre mleko od karmiących je ludzkich mamek. I tu właśnie sprawy zaczynają się komplikować.

Wróżki, które potrafią czynić cuda, zazdroszczą kobietom ich życia w rodzinnym cieple. Przychodzą do mieszkań ludzkich i, korzystając z odpowiedniego momentu, zostawiają swe dziecko w kołysce, a zabierają dziecko, które się w niej znajdowało. Przez zaczarowanie nowy przybysz jest podobny do zaczarowanego dziecka jakby był jego bratem, tak że matka niczego nie podejrzewa, aż do momentu, gdy różnice między nim a własnym dzieckiem staną się wyraźne.

Zdania na temat rozmaitych spraw związanych z tymi faktami są podzielone. Bez wątpienia pod wpływem Kościoła katolickiego uważano, że wróżki chcą przede wszystkim zawładnąć nie tyle samym dzieckiem, co jego duszą. Przyjmowano pogląd, że dusza i ciało to dwie odrębne części. Tłumaczyłoby to fakt, że dziecko pozornie znajduje się wciąż w swej kołysce. Natomiast jego zachowanie zostało zmienione, w krótkim czasie skóra na całym ciele robi się sucha i marszczy się, tak że w końcu przypomina ono starca. W innej baśni dziecko pozostawione w kołysce jest o połowę mniejsze od prawdziwego dziecka. Opowieści te niewątpliwie mają coś wspólnego z rzeczywistością.

Czytając opisy zawarte w baśniach o pozostawionych przez wróżki dzieciach, można stwierdzić obecność rozmaitych anomalii fizycznych, tak że jest rzeczą oczywistą, iż przypadki wczesnego

[1] Niniejszy rozdział został znacznie wzbogacony dokumentacją dotyczącą ludowej literatury celtyckiej, którą nam przesłała pani Jill Hays O'Connor (USA). Była ona wychowawczynią małej Elly, dziewczynki autystycznej, której matka, Clara Park, opisała w pięknej formie efekty uzyskane dzięki systematycznym wysiłkom wychowawczym (*The Siege*, 1967, po francusku *Historia Elly*, Paris 1972. „Calmann-Lévy"). Pani Jill Hays O'Connor pracowała nad folkolorem irlandzkim. W liście do Clary Park pisała: „Przez cały czas prowadzenia badań nad dziećmi porywanymi przez „Good People" myślałam o Elly". Mamy nadzieję, że dzięki naszej książce dzieci takie jak Elly odniosą korzyść z jej pracy.

autyzmu dziecięcego stanowią jedynie pewną część zamienionych dzieci. Można także stwierdzić, że jeśli chodzi o płeć tych dzieci, to przeważają chłopcy. Ten swoisty antyfeminizm przypomina nam pierwsze lata działalności po otwarciu pierwszego ośrodka terapeutycznego, gdy kierowani do nas byli przede wszystkim chłopcy, a bardzo rzadko dziewczynki. Od tych czasów statystyki naukowe ustaliły wskaźnik mówiący o tym, że cztery lub pięć razy więcej chłopców niż dziewczynek jest dotkniętych wczesnym autyzmem dziecięcym. To można by tłumaczyć faktem, że chłopcy są posiadaczami tylko jednego chromozomu X, podczas gdy dziewczynki posiadają ich dwa i ten drugi chromozom, gonozom, może kompensować ewentualne anomalie (porównaj zespół kruchego X).

Oto jeden z przykładów pochodzących z tego typu baśni: Zrozpaczona matka pozostaje bezsilna wobec przerażających i dzikich krzyków swego dziecka. Jest ono nieprawdopodobnie żarłoczne[1] i dzięki temu lepiej rozwija się fizycznie, ale nie pod względem psychicznym. Zarówno sąsiedzi jak i „mądrzy ludzie" zgodni są co do tego, że dziecko nie jest własnym dzieckiem matki, lecz zostało zamienione przez wróżkę. Tego typu dzieci wróżek nie muszą być noworodkami, lecz mogą mieć już sto lat życia lub więcej!

Badanie języka baśni może stanowić cenną pomoc w lepszym poznaniu dawnych zwyczajów. Słowa, jakie w nich występują, ich podstawowe komponenty i modyfikacje jakim ulegają, pozwalają dostrzec pewne praktyki i zabobony wyraźniej niż poprzez zawierające fakty kroniki. Dość charakterystyczne są określenia stosowane wobec „podłożonego dziecka".

W języku angielskim istnieje wyraz, który zna doskonale cały świat anglosaski, a mianowicie „the changeling" wywodzący się oczywiście od słów „to change, exchange" (zmieniać, zamieniać). Baśnie stanowią tam część dziedzictwa kultury narodowej w większym stopniu niż we Francji i dzięki temu dzieci pogrążają się w świat baśni, co jednak nie przeszkadza w wychowy-

[1] Tego typu objawy nie występują u wszystkich dzieci autystycznych, a niektóre z nich są wręcz zbyt spokojne i nie chcą jeść.

waniu i w rozwoju intelektualnym, a także w przyswajaniu sobie brytyjskiego realizmu.

Królestwo „fairy tales" (cudownych baśni) jest bardzo rozległe. Obejmuje ono regiony Szkocji, gdzie istnieje słowo „sithbeire" oznaczające wszystkie dzieci wykazujące odchylenia od normy. W Szwecji „bortbyting" odnosi się do „zamienionego z daleka", a słowo „utbyta" oznacza — wymieniać. W Norwegii słowo oznaczające całą dużą rodzinę wróżek brzmi „skiptungr" i obejmuje ono także istoty umieszczane w kołyskach, z których zabrano ludziom dzieci. W Irlandii, która jest prawdziwą ojczyzną „Good People", słowo „omadhaun" obejmuje zarazem zamienione dziecko, dziecko upośledzone umysłowo i dotknięte obłędem. Rdzeń słowa „amh" odnosi się zarówno do istot czarodziejskich, do skrzatów i można go odnaleźć także w słowie „amadan" (changeling) występującym w dialektach Celtów irlandzkich i szkockich.

Można dostrzec stałe powiązanie między pojęciami „czary" i „szaleństwo". Stwierdza się, że istnieje ono w rozmaitych językach. W języku niemieckim istnieją dwa różne słowa oznaczające dziecko zamienione przez duchy. Jedno z nich brzmi „Kielkropf" i jest starym słowem występującym na północy kraju w formie: „chel-cheopf", które datuje się już od XVI wieku. Słowo to mogłoby całkowicie zaginąć, lecz odnajdujemy je w *Fauście* Goethego, w 6200 wierszu. Mefistofeles oferuje swe usługi Faustowi mówiąc: „Wraz z mymi poddanymi mogę wam służyć w *Kielkropf*". W słowie tym występują dwa różne elementy. Pierwszym z nich jest termin „Kiel" nie mający nic wspólnego ze współczesnym słowem „Kiel", czyli kil w łodzi, lecz może mieć to samo pochodzenie co słowo „Quelle" (źródło). Wyraz „Kropf" natomiast oznacza wole na szyi, a jeszcze szerzej — wszystko to, co jest okrągłe, krzywe, wypełnione czymś. „Kropfen" w mechanice oznacza zginanie czegoś metalowego. Przybliżamy się w ten sposób do francuskiego słowa „fou" (szalony), które wywodzi się z łaciny i oznacza „worek", „balon wypełniony powietrzem". Innym słowem odnoszącym się do zamienionego dziecka jest słowo „Wechselbalg" znane jeszcze doskonale w Niemczech. Składa się ono z dwóch elementów: „Wechsel" (zmieniać, wymieniać) i „Balg" (skóra zwierzęcia, miech kowalski). Odnajdu-

jemy tu pojęcie czegoś wydrążonego i pustego. Słowo to przyszło do języka niemieckiego z francuskiego, gdzie istnieje „baille" (balia), podobnie jak i w języku flamandzkim. Wyraz „bagen" oznacza także walkę między dziećmi i wywodzi się ze słowa używanego w środkowych Niemczech „belgen" — wpaść w złość, nadymać się („enfler"). Dziś jeszcze w przypadku chłopca niezdyscyplinowanego mówi się z zabarwieniem emocjonalnym „Balg". W przypadku kobiety lekkich obyczajów tego słowa już się dziś nie używa. Inne źródła etymologiczne wskazują na kiszki zwierzęce i wydęty brzuch (angielskie słowo „belly" — brzuch, „bellow" — miech).

W celu ilustracji zamieszczamy poniżej **baśń skandynawską**, w której wyzyskane jest pojęcie skóry zwierzęcej w kontekście zamienienia dziecka przez wróżki.

„Pewnego razu, blisko jeziora Tiis, dzielna para dwojga ludzi przeżywała zmartwienie z powodu „changeling" (zamienionego dziecka). Ludzie podziemni zostawili im zamiast ich własnego swoje, ponieważ ich własne dziecko nie było we właściwym czasie ochrzczone. Ten „changeling" zachowywał się w sposób dziwny i niecodzienny. Gdy nie było nikogo w pobliżu, przejawiał ożywienie, wdrapywał się na mury jak kot, gnieździł się pod dachem, wołał i krzyczał na całe gardło. Gdy jednak ktoś pojawił się w pokoju, zwykle zasypiał na końcu stołu. Mógł zjeść za czterech, nie zwracając wcale uwagi na to, co ma na talerzu. Natomiast uważał zawsze pilnie, czy nie za mało ma jedzenia i wszystkich w domu z tego powodu zanudzał.

Wypróbowano wszelkich środków, by go odpowiednio wychować, lecz były to próżne wysiłki. Wtedy jedna z miłych dziewcząt zaproponowała, że doprowadzi go do kresu wytrzymałości i będzie musiał wreszcie opuścić ten dom. Gdy był kiedyś na polu, wzięła jedną ze świń, zabiła ją i razem ze skórą, sierścią i całą resztą włożyła do czekoladowego pudingu, który podała mu do jedzenia, gdy wrócił do domu. Zaczął jak zwykle jeść łapczywie, lecz, gdy tak już od kilku minut jadł, nagle spowolniał, uspokoił się i z nożem w ręce patrząc na puding znieruchomiał i powiedział: „Puding ze skórą! Puding z sierścią i z oczami! Puding z nogami w środku! Ho! ho! ho! Trzy razy widziałem jak wyrastał las wokół jeziora Tiis, lecz takiego pudingu jeszcze

nie widziałem w życiu. Do diabła z nim, jeśliby diabeł sam chciał zostać tutaj na moim miejscu". Mówiąc to uciekł i nigdy się już nie pokazał."

Współczesna psychologia przyzwyczaiła nas do ciągłego szukania w kimś winy. W zasadzie matkę obciąża się odpowiedzialnością. Jeden z błędów macierzyńskich polega na lekceważeniu spraw dziecka, co stanowi lżejszą postać odrzucania. Niewiele się ta sytuacja zmieniła od czasu wróżek.

Młoda kobieta, nazwiskiem Mary Scannel, mieszkała kiedyś wraz z mężem blisko Męczeńskiego Zamku i pewnego dnia poszła z innymi wiązać snopki zboża. Dziecko, które jeszcze karmiła piersią, zostawiła w bezpiecznym miejscu, jak jej się zdawało, na brzegu pola zawinięte w płaszcz. Gdy powróciła do dziecka po zakończonej pracy, ujrzała w swym płaszczu o połowę mniejszą od własnego dziecka istotę, która tak przeraźliwie krzyczała, że było to słychać z bardzo daleka.

Niczemu nie służy szukanie w kimś winy, ważnym celem jest natomiast znalezienie dziecka, które znikło. Dodatkową kwestią, jaka się wyłania, jest: co czynić z potworkiem, jakim z całą pewnością jest „changeling". Sąsiedzi, mądrzy ludzie i wszyscy wokół udzielają zatem rozmaitych dobrych rad. Sprowadzają się one do kilku zasad, które dziś już straciły swe znaczenie: przede wszystkim trzeba upewnić się, czy rzeczywiście chodzi o „changeling". Aby się o tym przekonać, należy posłużyć się *metodą skorupek od jajek*, bardzo rozpowszechnioną w różnych krajach, o czym świadczy fakt, że znaleźć ją można w baśniach niemieckich (zobacz dalej nasze tłumaczenie baśni braci Grimm), angielskich, francuskich. Nie chodzi w żadnym razie o jakiś rodzaj czarów, lecz o pewną próbę, której logiczne uzasadnienie jest dla wszystkich zrozumiałe. Celem jest sprowokowanie u „changeling" zaskoczenia, którego nie potrafi pohamować. Zadziwia tym otoczenie i w ten sposób się zdradza, np. przez wybuch śmiechu (co zaskakuje jako niespodziewana reakcja dziecka wróżki) albo przez wyrażenie swego zdumienia w słowach, co także ujawnia jego prawdziwą naturę.

Nierozstrzygniętą kwestią pozostaje sprawa odzyskania prawdziwego dziecka, zanim uwolni się rodzina od fałszywego. Jedno rozwiązanie pociąga za sobą drugie. Chodzi o to, by zobowiązać

wróżki, będące skądinąd dobrymi matkami, do oddania skradzionego dziecka, bo inaczej ich podrzutek znajdzie się w śmiertelnym zagrożeniu. Można tu korzystać z różnorodnych środków działania, które nie zawsze mają humanitarny charakter. Można np. wrzucić małego potworka do rzeki lub jeziora. Wówczas matka szybko się pojawi, aby go wyłowić, a oddać małe ludzkie dziecko. Można także wrzucić go w ogień lub przygotować w tym celu rozżarzony do czerwoności piec kuchenny. Wydaje się, że wróżki bardzo nie lubią przygotowywanego dla ich dzieci ognia. W przypadku Mary Scannel mądry człowiek doradził, by nie dawać takiemu dziecku dostatecznej ilości jedzenia, aby je „bić i szczypać bez litości", co zresztą Mary Scannel uczyniła. W tydzień później, gdy zbudziła się rano, znalazła obok siebie w łóżeczku leżące jej własne dziecko. Dziecko wróżki, które dawniej z nią razem żyło, nie mogło znieść traktowania, jakie Mary Scannel z dobrym skutkiem zastosowała. W efekcie po tygodniu prób nastąpiło zniknięcie dziecka wróżki, która oddała jej prawdziwe, własne dziecko.

Należy zdać sobie sprawę z tego, że wróżki nie są wyrodnymi matkami, lecz starają się za wszelką cenę zapewnić swym dzieciom te dobra, które są udziałem ludzi. **Baśń niemiecka z ziemi heskiej** opowiada o pewnej wieśniaczce, która, wracając z pracy w polu, znajduje zamiast swego dziecka małego strasznego potworka. Zaczęła wówczas tak głośno krzyczeć o morderstwie, że matka odmieńca przybyła oszalała ze strachu i oddała prawdziwe dziecko. Ubłagała jednak kobietę, aby użyczyła jej dziecku-odmieńcowi swej piersi, by pozwoliła nakarmić je choć trochę ludzkim mlekiem.

Liczne baśnie opisują ze wszystkimi szczegółami procedurę „odzyskiwania" dziecka, przedstawiając wszystkie związane z tym gesty i słowa. I tak np. jedna z **baśni szwedzkich** opowiada nam o pewnej matce, która podejrzewała, że jej dziecko jest „changeling", ponieważ nie jadło i nie rozwijało się wcale. Podłożyła ona dużo drzewa do pieca w kuchni i rozgrzała go do czerwoności. Dziewczyna, którą miała do pomocy, trzy razy w rytualny sposób postawiła jej pytanie: „Dlaczego pani to robi?" i trzy razy kobieta odpowiedziała jej: „Robię to po to, aby spalić na śmierć moje dziecko!" Wtedy, gdy już rozebrała dziecko i przygotowała wszystko do wsunięcia go do pieca, zjawiła się przerażona matka troll'a (skrzata) z prawdziwym dzieckiem kobiety w ramionach. Szybko wyrwała swoje własne dziecko, mówiąc: „Oto twoje dziecko oddaję ci! Lepiej miało ono u mnie niż moje dziecko u was!" Rzeczywiście dziecko było pulchne i dobrze wyglądało.

Bardzo rzadko w baśniach matka waha się przed uśmierceniem intruza. W pewnym tekście niemieckim występuje informacja o cudownym źródle położonym blisko Neuhausen, gdzie matki przyprowadzają dzieci, które nie rozwijają się dobrze. Dziecko powinno być zostawione i po dziewięciu dniach, podczas których pije wodę z bijącego źródła, zostaje wyleczone lub umiera. Pewna młoda dziewczyna miała upośledzone dziecko (którego ojcem był człowiek zarządzający hotelem księcia). Dźwigała je z wysiłkiem na plecach podczas długiej i ciężkiej drogi. W trakcie swej wędrówki spotkała studenta, który powiedział do niej: „To dziecko z pewnością nie jest wcale twoje. Twoje znajduje się w domu, w nowej kołysce pod powałą izby. A to dziecko rzuć do rzeki! To jest demon!" Dziewczyna nie zastosowała się z początku do tych rad, twierdząc, że jest to z pewnością jej dziecko, lecz kiedy nieznajomy dalej nalegał, mówiąc: „wrzuć szybko tego potworka do rzeki!", biedna kobieta uczyniła co jej radzono, całując przy tym dziecko i płacząc. Wówczas pod mostem, znad rzeki zaczęły dochodzić do jej uszu tak głośne hałasy i ujadania, jakby walczyło ze sobą sto wilków i sto niedźwiedzi. Gdy kobieta wróciła do domu, znalazła tam swoje dziecko zdrowe i bezpieczne, uśmiechające się do niej ze swej nowej kołyski.

Taki „happy end" nie zawsze ma miejsce. W pewnej baśni zatytułowanej *Drwal i wróżki* zarejestrowanej przez J. F. Campbella wszystko przebiegało według następujących zasad:

„Pewnego dnia dziecko leżało w swym łóżeczku apatyczne i spokojne. Pomimo wspaniałego apetytu nie przejawiało normalnych oznak życia. Im więcej jadło, tym bardziej chudło, stawało się żółte i stopniowo upodobniało się do starca. Drwal był wdowcem, a sąsiedzi uważali, że dziecko w niedługim czasie umrze.

W tym czasie pewien mądry człowiek przekonał ojca, że dziecko to nie jest jego własnym i poradził mu, by poddał je próbie

skorupek od jajka. Wtedy mały potworek zdradził swe pochodzenie mówiąc: „W ciągu 800 lat nie spotkałem nigdy czegoś podobnego!" Wkrótce potem drwal spalił to dziecko w ognisku.

Mimo to nie odzyskał swego własnego syna. Pewnej księżycowej nocy udał się więc na poszukiwanie go, kierując się w stronę gór, gdzie zauważył wydobywającą się smugę dymu i dochodzącą muzykę. Trzeba bowiem wiedzieć, że „Good People" lubią muzykę nade wszystko. Uzbrojony w Biblię i sztylet drwal odzyskał swoje dziecko, a z gór powrócił bez żadnego uszczerbku na zdrowiu."

Jeśli jednak „Good People" nie oddają skradzionego dziecka, pozostaje ono u wróżek lub demonów. Nasz drwal zresztą opowiadał, że poszukując swego dziecka w górach, miał okazję zobaczyć wielu ludzi ciężko pracujących w głębi wielkiej sali lub groty. Stara kronika z XII wieku, którą zawdzięczamy Ralfowi de Coggesball, opowiada o małej dziewczynce, Malekin, ukazującej się regularnie w rodzinnym zamku jako zjawa i proszącej o pożywienie. Zwracała się z tym jedynie do jednej ze służących, która z kolei opowiadała, że dziewczynka ta została wykradziona i zamieniona z innym dzieckiem przez wróżkę, lecz spodziewała się, że wróci po upływie siedmiu lat. Kapelan z tego zamku chciał się upewnić o tych informacjach i o umówionej godzinie zdecydował się oczekiwać dziewczynki. Istotnie ukazała mu się ona i rozmawiała z nim po łacinie.

Wśród „powracających" są tacy, którzy przyznają, że czuli się dobrze przebywając wśród „Good People". Niektórzy z rodziców są zadowoleni, gdy dowiedzą się, że ich dziecko zabrane przez wróżkę znajduje się przy życiu.

Nasz racjonalizm współczesny nie pozwala nam upewnić się w tym względzie. Nie można jednak powstrzymać się od zadania pytania o realny los tych „skradzionych" dzieci, a także o los „dzieci wróżek" skazanych na śmierć. W rzeczywistości chodzi o mordowanie dzieci pod wpływem rad udzielanych przez „mądrych" mężczyzn lub kobiety. Rodzice w tych przypadkach uciekali się do środków „niezawodnych", takich jak woda, ogień i inne. Crofton Croker w swym dziele zawierającym legendy i tradycje południowej Irlandii przytacza całą serię wspomnianych środków: przypalania nosa obcęgami rozgrzanymi do czerwoności,

wystawianie niemowlęcia na zimno, w śniegu, pozostawianie na brzegu drogi...

Praktyki te (bez wątpienia bardzo skuteczne) mogły godzić w każde dziecko ze zniekształceniami i odchyleniami od normy. Poręczeniem dla nich były istniejące uprzedzenia, szarlataneria i niekiedy religia.

„Porwanie dziecka". Rysunek wykonany przez autystycznego chłopca w wieku lat 13 po próbie nawiązania z nim kontaktu przez nauczyciela gimnastyki. Na drzewie w celach bezpieczeństwa zainstalowane są stacje TV. Prawdziwa psychodrama towarzyszyła rysowaniu. Zostało ono częściowo sfilmowane w naszym filmie „Ekspresja trojga dzieci psychotycznych".

Można się zastanawiać, czy nie istniała próba utożsamiania tych praktyk z aktami poświęcania ludzi w ofierze, szczególnie gdy ofiarami są jednostki pokonane, słabe, bezbronne, a wśród nich także młode dziewczęta. Czy rodzice byli zawsze w pełni przekonani, że dziecko leżące w kołysce było obcym dla nich potwor-

ANALIZA PEWNEJ WYJĄTKOWEJ BAŚNI: „JASIO-JEŻYK"[1]

„Był sobie raz chłop, który miał wbród pieniędzy i wszelkiego dobra, ale mimo bogactwa czegoś mu jednak do szczęścia brakowało. Otóż nie mógł się ze swą żoną doczekać dzieci. Kiedy wraz z innymi gospodarzami szedł do miasta, często się z niego naśmiewali pytając, czemu to nie ma dzieci. Rozgniewał się w końcu i wróciwszy raz do domu rzekł: — Muszę mieć dziecko i basta, niechby to nawet był jeż. I żona jego urodziła dziecko, które od góry było jeżem, a od dołu chłopcem. Kiedy matka je zobaczyła, przeraziła się i zawołała do męża: — Widzisz, zauroczyłeś nas. Na co mąż: — Nie ma na to rady, dziecko trzeba ochrzcić, tylko nikogo w kumy prosić nie możemy. Żona powiedziała: — Nie możemy mu też na chrzcie dać innego imienia tylko Jasio-Jeżyk. Podczas chrztu ksiądz rzekł: — Przez te kolce nie można go położyć do porządnej kolebki. Rzucono więc za piec wiązkę słomy i położono na niej Jasia-Jeżyka. Malec nie mógł też ssać piersi matki, bo by ją pokłuł swymi kolcami. Leżał tak za piecem osiem lat, w końcu ojciec miał go już dość i pragnął jego śmierci. Ale Jasio-Jeżyk nie umierał, tylko leżał sobie za piecem. Pewnego razu odbywał się w mieście jarmark i chłop, który się na ten jarmark wybierał, zapytał przed wyjściem żonę, co ma jej przywieźć z jarmarku. — Kawałek mięsa i parę bułek, to co trzeba do gospodarstwa — odrzekła. Zapytał potem dziewkę służebną, która go poprosiła o buciki i pończochy. A w końcu zawołał: — Jasiu-Jeżyku, a co ty byś chciał? — Przynieście mi, ojcze, przynieście dudy. — Odrzekł syn. Po powrocie do domu chłop dał żonie kawałek mięsa i bułki, dziewce służebnej przyniósł buciki i pończochy, a w końcu podszedł do pieca i dał Jasiowi-Jeżykowi dudy.

Kiedy miał już on swoje dudy, rzekł: — Idźcie ojcze teraz do kuźni i każcie mi podkuć mojego koguta, odjadę na nim w świat i nigdy już tu nie wrócę. Ojciec zadowolony, że się go pozbędzie, kazał podkuć koguta, a kiedy kowal zrobił co należało, Jasio-Jeżyk dosiadł swego rumaka i odjechał, zabierając z sobą parę świń i osłów, które zamierzał paść w lesie. W głębi lasu kogut z Jasiem-Jeżykiem na grzbiecie pofrunął na wysokie drzewo i Jasio miał z góry pieczę nad osłami i świnkami. Siedział tam przez wiele lat, przez ten czas stado bardzo się rozmnożyło, ale ojciec nie miał o swym synu żadnej wieści. Siedząc na drzewie Jasio-Jeżyk wygrywał na dudach, była to bardzo ładna muzyka. Pewnego razu przejeżdżał tamtędy król, który, błądząc po lesie, usłyszał muzykę. Zdumiała go ona i wysłał lokaja, by się rozejrzał, skąd owo granie dochodzi. Lokaj rozejrzał się, lecz nic więcej nie zobaczył, tylko małe zwierzątko siedzące na drzewie, a był to kogut z jeżem na grzbiecie, i ów jeż tak pięknie grał. Król kazał lokajowi spytać jeża, czemu tam siedzi i czy nie zna drogi, która wiedzie do jego królestwa. Jasio-Jeżyk zlazł wtedy z drzewa i powiedział, że wskaże im drogę, jeśli król zapisze mu i obieca pierwszą rzecz, jaką napotka po powrocie na swym dworze. Król pomyślał: „Czemu nie, Jasio-Jeżyk i tak czytać nie umie, więc mogę mu zapisać, co mi się podoba." Wyjął więc król pióro i atrament i coś nagryzmolił, po czym Jasio-Jeżyk wskazał mu drogę i król szczęśliwie wrócił do domu. Kiedy jego córka zobaczyła go z daleka, tak się ucieszyła, że wybiegła mu na spotkanie i ucałowała serdecznie. Król przypomniał sobie wtedy Jasia-Jeżyka i opowiedział jej o swojej przygodzie i o tym, że miał dziwnemu zwierzątku zapisać pierwszą rzecz, jaką napotka po swym powrocie. A zwierzątko owo siedziało na kogucie jakby na koniu i bardzo ładnie grało. Król zaś napisał, że wcale tej rzeczy nie dostanie, bo Jasio-Jeżyk nie umiał przecież czytać. Królewna była z tego bardzo zadowolona i powiedziała ojcu, że dobrze zrobił, bo ona przecież za nic w świecie nie poszłaby do tego zwierzątka.

Jasio-Jeżyk tymczasem pasł swoje świnie i osły, siedział na drzewie i wygrywał wesoło na dudach. I zdarzyło się znowu, że inny król wraz ze swoimi lokajami i forysiami zabłądził w lesie i nie wiedział, jak dojść do domu przez tak gęsty bór. I on również usłyszał z daleka piękną muzykę i kazał pójść służącemu zobaczyć co to takiego. Służący poszedł pod drzewo i ujrzał w górze koguta z Jasiem-Jeżykiem na grzbiecie. Służący spytał Jasia, co tam robi.

[1] *Baśnie Braci Grimm.* Przekład E. Bielicka i H. Tarkowski, Warszawa „Czytelnik" 1982. *Jasio-Jeżyk*, s. 33—38.

— Pasę świnie i osły, a jakie jest, Panie, wasze życzenie?

— Służący odrzekł, że zabłądzili w lesie i nie mogą trafić z powrotem do swego królestwa, czy on mógłby im wskazać drogę. Jasio-Jeżyk zlazł z drzewa i powiedział, że chętnie wskaże drogę, jeśli król odda mu pierwszą rzecz, jaką napotka po powrocie przed swym pałacem. Król zgodził się i napisał Jasiowi-Jeżykowi, że mu to obiecuje. Otrzymawszy to, co chciał, Jasio dosiadł swego koguta i pojechał przodem, aby wskazać drogę królowi, który wkrótce szczęśliwie wrócił do domu. Na dworze zapanowała wielka radość z jego powrotu. A miał król jedyną córkę, śliczną jak obrazek, która wybiegła na jego powitanie, rzuciła mu się na szyję i ucałowała, ciesząc się, że jej stary ojciec wreszcie powrócił. Spytała go, co tak długo robił poza domem, on zaś odpowiedział, że zabłądził w lesie i mało brakowało, a nigdy by już nie wrócił. Jednakże, jadąc przez wielki bór, zobaczył wysoko na drzewie dziwne stworzenie, półjeża półczłowieka, siedzące na grzbiecie koguta i pięknie na czymś grające; stworzenie owo pomogło mu odnaleźć drogę, on zaś obiecał mu za to pierwszą rzecz, jaką napotka po powrocie na królewskim dworze i bardzo go to martwi, bo tą pierwszą rzeczą jest właśnie ona. Królewna przyrzekła staremu ojcu, że dla niego chętnie to zrobi i pójdzie z tym dziwacznym stworzeniem, kiedy tylko zażąda.

Jasio-Jeżyk pasł tymczasem swoje świnie, które mnożyły się tak szybko, że w końcu zapełniły cały las. A Jasio-Jeżyk dość miał już życia w lesie, dał więc znać ojcu, aby kazał opróżnić wszystkie chlewy we wsi, bo on przyjedzie z tak wielkim stadem, że każdy, kto tylko zechce, będzie mógł sobie zarżnąć świnię. Ojciec Jasia-Jeżyka zmartwił się bardzo tą wiadomością, był już bowiem pewny, że jego syn dawno umarł. Jasio-Jeżyk dosiadł jednak koguta, przygnał do wsi swoją trzodę i zarządził wielkie świniobicie; ale to było używanie. Kwik zarzynanych wieprzy rozlegał się daleko po całej okolicy! Kiedy już było po wszystkim, Jasio-Jeżyk powiedział:

— Ojcze, każcie jeszcze raz podkuć w kuźni mojego koguta, a wtedy stąd odjadę i już nigdy nie wrócę. Ojciec kazał podkuć koguta i cieszył się, że Jasio-Jeżyk opuści go na zawsze.

Pojechał on najpierw do pierwszego królestwa, ale tamtejszy król rozkazał swoim poddanym, aby kiedy zjawi się w kraju

jeździec na kogucie z dudami pod pachą — wszyscy bili go, kłuli, i strzelali do niego i nie dopuścili go do pałacu. Ledwo Jasio-Jeżyk przekroczył granice królestwa, wojsko rzuciło się na niego z bagnetami, on zaś ścisnął ostrogami koguta, który wzbił się w powietrze, przeleciał nad bramą i usiadł przed królewskim oknem; wtedy Jasio-Jeżyk zażądał od króla spełnienia obietnicy, grożąc, że w przeciwnym wypadku i jego samego i królewnę życia pozbawi. Król jął więc namawiać córkę, by wyszła z pałacu, ratując życie własne i ojca. Królewna włożyła białą szatę, król zaś dał jej poszóstną karetę, służbę w pięknej liberii i mnóstwo pieniędzy i wszelkiego dobra. Królewna wsiadła do karety, a Jasio-Jeżyk wraz ze swym kogutem i dudami zajął miejsce obok niej, po czym pożegnali się i pojechali, a król był pewien, że nigdy już córki nie zobaczy. Stało się jednak inaczej, niż się spodziewał; bowiem kiedy orszak znalazł się poza miastem, Jasio-Jeżyk zdarł z królewny jej piękne szaty i pokłuł ją całą do krwi swoimi kolcami, a na koniec powiedział:

— Oto nagroda za wasze kłamstwa, idź precz! Wcale ciebie nie chcę! — przepędził ją z powrotem do domu, zhańbioną do końca życia.

Sam zaś pojechał dalej na swym kogucie z dudami pod pachą do drugiego królestwa, gdzie również panował król wyratowany przez niego z kłopotu. Ten jednak wydał rozkaz, że kiedy się zjawi ktoś taki jak Jasio-Jeżyk, wojsko ma przed nim broń prezentować, godnie go przyjąć i wśród wiwatów zaprowadzić do pałacu. Królewna przestraszyła się na jego widok, bo miał on dziwaczną postać, ale wiedziała, że nic już tu nie można poradzić, obiecała przecież ojcu. Przyjęła więc Jasia-Jeżyka serdecznie i odbyły się ich zaślubiny, a potem usiedli razem przy królewskim stole i razem jedli i pili. Wieczorem, kiedy mieli już iść spać, królewnę ogarnął strach przed jego kolcami, on zaś uspokoił ją, żeby się niczego nie bała, bo nie spotka ją żadna krzywda; powiedział staremu królowi, aby mu przysłał czterech ludzi do trzymania straży przed drzwiami sypialnianej komnaty i do rozpalenia wielkiego ognia. Kiedy on wejdzie do komnaty, zanim położy się do łóżka, zrzuci z siebie jeżową skórę i zostawi ją przed łóżkiem; wtedy czterej strażnicy muszą wbiec do komnaty, porwać skórę, wrzucić ją w ogień i przypilnować, żeby się cała

spaliła. Po wybiciu godziny jedenastej Jasio-Jeżyk zszedł do komnaty, rzucił skórę i zostawił ją u stóp łóżka. W tej samej chwili wbiegli czterej strażnicy, chwycili skórę i wrzucili ją do ognia, a kiedy płomienie ją za szczętem pochłonęły, Jaś był już od swych czarów wyzwolony i leżał w łożu w całkiem ludzkiej postaci, tyle, że czarny jak węgiel, niby okopcony. Król kazał sprowadzić lekarza, skropił go najszlachetniejszymi maściami i balsamami, że wreszcie stał się zupełnie biały i wyglądał jak piękny, szlachetny młodzian. Kiedy królewna go zobaczyła, ucieszyła się bardzo, nazajutrz zaś wstali oboje radośni i szczęśliwi, jedli znów i pili i dopiero było prawdziwe wesele, a Jasio-Jeżyk otrzymał od starego króla całe królestwo. Kiedy minęło kilka lat, pojechał wraz z małżonką do swojego ojca i przedstawił się jako jego syn; ojciec go zapewniał, że właściwie nie ma syna, że miał kiedyś Jasia-Jeżyka, który urodził się pokryty do połowy kolcami, ale dawno powędrował w świat. Wtedy Jaś dał się w końcu poznać ojcu i uszczęśliwionego zabrał ze sobą do swego królestwa.

Teraz zapalmy fajki,
Bo już koniec naszej bajki."

Taka była zatem baśń zamieszczona w zbiorze przygotowanym przez braci Grimm. Historia opisanego dziecka-jeża zawiera dość wyraźną symbolikę; istnieje pewien paralelizm pomiędzy zwierzęciem najeżonym kolcami a dzieckiem żywym, wycofującym się ze świata otaczającego je do stanu całkowitego lęku wobec zewnętrznych zagrożeń. Czy baśń ta zrodziła się właśnie jako mająca taki sens i opiera się na pewnej realnej sytuacji tragicznej, czy też my sami jako czytelnicy żyjący w wieku znajdującym się pod wpływem psychologii nadajemy ten sens baśni?

Bajkopisarz przedstawia urodzenie się takiego monstrualnego dziecka jakby karę dla dwojga osób zniecierpliwionych przez to, że nie mogą mieć dzieci. Jest to częsty motyw w cudownych baśniach. W Gaskonii na południu Francji występuje baśń *Król pastwisk* zawierająca opowieść na identyczny temat. Odnajdujemy go także w innej baśni braci Grimm pt. *Osiołek*, która rozpoczyna się w ten sposób: „Żyli sobie niegdyś król i królowa, którzy byli bardzo bogaci i mieli wszystko czego pragnęli, tylko nie mieli dzieci. Całymi dniami i nocami płakała biedna królowa mówiąc: Jestem jak ta rola, na której nic nie rośnie. Wreszcie Bóg spełnił jej gorące prośby. Ale kiedy dziecię przyszło na świat, nie wyglądało jak inne dzieci, lecz jak mały osiołek." (*Baśnie Braci Gr. im.* Tłumaczył M. Tarkowski, Warszawa. „Czytelnik" 1982, s. 161).

Podania ludowe tłumaczyły urodzenie się dzieci z anomaliami jako konsekwencje niecierpliwości wobec woli bożej, co traktowano jako grzech. W istocie to prymitywne przekonanie opierało się na tysiącletnim doświadczeniu: małżeństwa, które przez dłuższy czas nie mogły mieć dzieci, znają lepiej niż inni wielkie ryzyko posiadania dziecka z występującymi u niego anomaliami, które można wyjaśnić zaburzeniami hormonalnymi lub innymi u jednego z partnerów, najczęściej u kobiety.

A czy w wieku XX człowiek zadowala się wyjaśnieniami, jakich dostarcza nauka? W swej wartościowej książce[1] autor (będący postępowym chrześcijaninem) opowiada jak para rodziców, których córka zginęła tragicznie podczas bombardowania fabryk Renault w 1943 roku, chciała mieć drugie dziecko, lecz druga córka, która się im urodziła, była dzieckiem z chorobą Downa. Autor, jej ojciec, przedstawiając w swej książce warte uwagi refleksje, pisze: „Można dostrzec rękę Boga w tym, że zostaliśmy poprowadzeni nowymi, nie znanymi nam dotąd i szczególnymi drogami..."

Współczesny człowiek, nieco mniej podatny od swych przodków na zagrożenia, nie przestaje odwoływać się do sił nadprzyrodzonych i tak jak kiedyś — najlepsi spośród nas to czynią, wypowiadając się na piśmie na temat swych nieszczęść.

Czy baśń „Jaś-mój-Jeż" należy do tych opowieści, niezależnie od podania ludowego? Już sam tytuł uderza swą niezwykłością. Zaimek osobowy (mój) wstawiony pomiędzy imię Jaś i nazwę (jeż) jest tak samo niezwykły w języku niemieckim i francuskim. Wydaje się nam, że trzeba to interpretować jako bolesną akceptację ze strony matki dziecka, które ją czyni nieszczęśliwą i którego los potrafi ona przewidzieć. To tak jakby powiedziała: „Jasiu, oh! moje biedne dziecko podobne do jeża!"

---

[1] Georges Hourdin: *La malheur innocent.* (*Niezawinione nieszczęście*) Paris. Stock 1976.

Co więcej, jeśli imię „Jaś" w języku francuskim jest jednym z najczęstszych imion, to „Hans" w języku niemieckim pozostaje zdrobnieniem. Oczywiście obecnie coraz częściej takie zdrobniałe imiona są dawane dzieciom przez rodziców; dzieje się tak prawdopodobnie pod wpływem czułości, lecz w czasach, gdy żyli bracia Grimm, trzeba było przy chrzcie nadawać pełne imiona „Johann" lub „Johannes".

W kontekście naszej baśni takie zdrobnienie musiało przywoływać oprócz czułości niedoskonałość tego typu dziecka: „Mój Hansie, mój mały Jeżyku". Cóż zresztą mogła więcej uczynić matka dla swojego dziecka, które było nawet przez księdza odrzucone?

Odrzucanie dziecka z anomaliami jest pewnym zjawiskiem społecznym będącym czymś więcej niż wyrazem emocji. To rodzice domagają się ochrzczenia Jasia, lecz proboszcz stwierdza, że z powodu swych kolców dziecko nie może być położone w łóżku. Jaś jest kładziony z tyłu za kominem, który w Europie środkowej jest kwadratowy, kaflowy, z ławą dookoła. To tam właśnie osoby starsze oczekują swego końca. Jeśli chodzi o trudności z karmieniem mlekiem, to wyrażają się one tym, że Jaś może ranić matkę w pierś i ten problem realny ma swą wymowę symboliczną.

W ten sposób mija osiem lat i Jaś osiąga wiek, w którym współczesna psychologia (Piaget) umieszcza zdolność do myślenia abstrakcyjnego. Jest to także wiek, w którym dziecko wzrastające na wsi staje się już użytecznym członkiem rodziny, zdolne jest do wypełniania różnych zadań i do osiągnięcia pewnej niezależności.

Jaś wyjeżdża dosiadając koguta i jest to idea występująca dość często w różnych obrazach ludowego piśmiennictwa. Mówi się w nim o jeźdźcach półludziach, półzwierzętach, co w kontekście anatomii Jasia-mojego-Jeża ma pewną logikę.

Życie w lesie nie musi stanowić ekspresji jakiejś samotności. Obejmuje ono niezliczone egzystencje ludzkie i zwierzęce i w baśniach jest ono ujmowane jako symbol kontaktów społecznych. Jaś zajmował się tam swym stadem, wykonując tym samym pracę użyteczną społecznie. To właśnie jego przebywanie wysoko na drzewie pozwala mu wznieść się ponad wszystkich tak,

że nie mogą go nawet dostrzec królowie. Królowie[1] reprezentowali ludzi ze wszystkimi ich brakami i pozytywnymi cechami, mając to wszystko, co może dać władza i bogactwo.

Jaś-Jeżyk był utalentowanym muzykiem — grał na dudach, co stanowi jedyny czynnik afektywny w tym autystycznym świecie oddalonym od życia społecznego. Znany w cudownych baśniach temat nieco nas uwarunkował, ponieważ znaliśmy już historie obietnic dotyczących tego, co jako pierwsze się napotyka, oraz zdobywanie względów dobrych i złych księżniczek, którymi są wyidealizowane młode dziewczątka. Nie dostrzegamy jednak być może beznadziejnej walki Jasia o to, by być kochanym przez ojca przede wszystkim, przez sąsiadów także, którzy mają prawo brać zwierzęta z jego stada, a w końcu przez kobiety. Jaś stara się pomagać każdemu, lecz inni widzą tylko jego kolce. Nie znajdzie rekompensaty; ojciec i sąsiedzi przyjmują podarunki, lecz nie chcą chłopca. Pierwszy z królów wykorzystuje jego nieznajomość pisma, a księżniczka odmawia ręki.

W końcu Jaś będzie przyjęty na dwór, co jest sprawą wyboru w społeczeństwie i będzie wyleczony przez miłość w najczystszej jej formie. Na nowo chce z innymi dzielić swą miłość i udaje się do swego starego ojca. Rola matki pozostaje całkowicie w cieniu.

Analiza tej baśni — dziwnie pozostawionej na uboczu przez większość amatorów literatury ludowej — pozwala dokonać łatwo porównań z zespołem wczesnego autyzmu dziecięcego. Pewnej satysfakcji dostarczyć może fakt, że baśń o *Jasiu-Jeżyku* nie zawiera dwóch istotnych cech charakteryzujących inne baśnie.

1. Proces zdejmowania uroku nie zawiera pewnych rytuałów występujących zwykle w cudownych baśniach o szczęśliwym zakończeniu, lecz nabiera aspektu terapeutyki doprowadzającej do wyleczenia.

2. Struktura tej baśni jest wyjątkowa wśród baśni Grimmów i innych autorów, ponieważ nie spełnia ona reguł klasycznych, które obowiązują prawie we wszystkich ludowych baśniach.

Nieco szczegółowiej rozpatrzymy te dwa punkty:

---

[1] W jednej baśni w okolicach Niemiec północnych (Proehle) występuje trzech, a nie dwóch królów.

LOYRÉ d'ARBOVILLE XIX WIEK (FRANCJA)
LEKARZ WIEJSKI

las. Przez dłuższy czas nie wracał i wtedy jego żona z lekarzem wyjechali wraz ze służbą na jego spotkanie. Znaleźli go pod drzewem zabitego z raną w głowie i obrabowanego z pieniędzy. Młoda kobieta zemdlała. Nie chciała zaakceptować faktu, że przeżyła swego męża, lecz w końcu zgodziła się na to, że musi się odżywiać i doprowadzić swą ciążę do szczęśliwego końca.

„Ewa Meredith urodziła syna i gdy po raz pierwszy przyniesiono jej dziecko, wykrzyknęła „William!", i łzy wielkiego smutku tak długo powstrzymywane zaczęły się lać z oczu biednej wdowy. Dziecku dano to samo imię, które miał ojciec, ukochany William, a mała kołyska została umieszczona blisko łóżka matki. I wtedy wzrok Ewy, tak często wznoszony ponad ziemię, mógł znów się skierować ku ziemi (...). Pochylona nad dzieckiem, okrywała je, ogrzewała swymi pocałunkami. Pewnego dnia zobaczyłem ją uśmiechającą się do swego syna! Lecz nigdy nie chciała mu śpiewać, kołysząc do snu. Wzywała w takich momentach jedną z usługujących jej kobiet i mówiła: „Śpiewaj, aby uśpić mego syna!" Później słuchając rzewnie płakała, a łzy spływały na czoło małego Williama. Biedne dziecko! Było tak piękne, słodkie i łatwe do wychowania. Lecz tak jakby ból przeżywany przez matkę od chwili jego urodzenia udzielał się jemu samemu. Dziecko było smutne, prawie nigdy nie krzyczało, nie uśmiechało się, było bardzo spokojne, a spokój w tym wieku mógł świadczyć o cierpieniu. Wydawało mi się, że wszystkie łzy wylewane nad tą kołyską zamroziły jego młodą duszę. Tak chciałem widzieć Williama obejmującego swymi ramionami matkę i tulącego się do niej. Chciałbym, by starał się odwzajemniać pocałunki, jakimi go tak szczodrze matka obdarzała. Lecz o czym tu można było marzyć? Mówiłem sobie, że od tej małej istoty, która jeszcze nie ukończyła pierwszego roku życia, nie można domagać się, by zrozumiała, że znalazła się na tym świecie po to, by kochać i pocieszać tę kobietę.

Doktor Barnaba, jeszcze wtedy młody lekarz, otrzymał list od swego wuja związanego z wydziałem medycyny w Montpellier, w którym wzywa go on do przyjazdu. Wuj chciał po prostu, by Barnaba mógł zdobyć przy nim jeszcze więcej wiedzy medycznej i poznać lepiej tajniki tej sztuki w dużym mieście, cieszącym się naukową sławą. Z ciężkim sercem zatem wziął urlop i wybrał

się do Montpellier, myśląc o osamotnieniu w jakim pozostawił wdowę wraz z dzieckiem. W trakcie rozwijania się akcji powieści można odgadnąć uczucia, jakie żywił do młodej kobiety.

„Dziecko leżało przed schodami wejściowymi na trawie w słońcu. Podszedłem do niego, wziąłem je na ręce, ucałowałem wiele razy i patrzyłem na nie długo, długo, uważnie i smutno: potem łza zakręciła mi się w oku. „Och, nie! Jestem w błędzie!" mówiłem do siebie, opuszczając szybko biały dom. „Mój Boże, doktorze!" zwracali się do niego napotkani rozmówcy. „Pan martwi się z powodu tego dziecka?"

Przybywszy do Montpellier młody lekarz, aby zarobić na swe życie, zmuszony był przyjąć posadę u pewnego starego Anglika, bardzo bogatego, bardzo cierpiącego na podagrę i niespokojnego o swe zdrowie, pragnącego mieć przy sobie lekarza, który zajmowałby się jego chorobą pod kierunkiem swego utytułowanego kuzyna. Pod jego dachem żyła także lady Mary, młoda kobieta o ciemnej karnacji elegancko ubrana, pracująca przez cały dzień przy haftach. Była ona piękna i wyniosła, bez uśmiechu na ustach, o lekceważącym otoczenie spojrzeniu. Obok niej na dywanie bawił się mały chłopiec. Nikt nie mówił na ten temat niczego.

Lord J. Kysington przybył do Montpellier, aby zadbać o swe zdrowie nadwerężone pobytem w Indiach. Lady Mary była żoną jego młodszego brata, a na swego spadkobiercę lord wyznaczył bratanka, syna lady Mary.

Doktor Barnaba zaczął opiekować się starcem, który był dżentelmenem w każdym calu. Podczas długich dysput nie omieszkał wyjawić starcowi, że prawowitym jego synem pozostaje William, mąż Ewy. Pewnego dnia, korzystając z bezsennej nocy lorda, wyjawił mu istnienie Ewy i jej syna, opowiadając o śmierci młodego człowieka i uzyskał od lorda przebaczenie dla młodej wdowy.

Cała ta opowieść jest bardzo wzruszająca, szczególnie od momentu, gdy pojawia się u teścia Ewa Meredith, bo takie było jej zapożyczone nazwisko, wraz ze swym synem.

„Wzięła swe dziecko w ramiona i, kładąc na kolanach lorda J. Kysingtona, zawołała: „Oto twój syn!" Potem nieszczęsna kobieta zaczęła płakać i powoli uspokoiła się. Lord J. Kysington patrzył długo na dziecko. W miarę jak zaczął rozpoznawać rysy

syna, którego stracił, jego spojrzenie stawało się ciepłe i łagodne. Nadszedł moment, że uwierzył w powrót szczęśliwych dni i zapominając o swym wieku, upływie czasu, przeżytych nieszczęściach, myślał, że ma przy swym sercu syna jeszcze jako dziecko. — „Williamie! Williamie! i moja droga córko" — dodał trzymając za rękę Ewę Meredith. Oczy moje wypełniły się łzami, bo oto Ewa odnalazła rodzinę, opiekuna, fortunę. Byłem szczęśliwy i dlatego płakałem. Tymczasem dziecko pozostające spokojnie na kolanach swego dziadka nie przeżywało ni radości, ni niepokoju. „Czy chcesz mnie kochać?" zapytał dziadek. Dziecko podniosło głowę, lecz nie odpowiedziało. „Czy ty mnie słyszysz? Ja będę twym ojcem" — powtarzał cicho do dziecka. „Proszę wybaczyć, powiedziała matka chłopca, on jest zawsze sam i jest jeszcze bardzo mały, ludzie go onieśmielają, później milordzie on zrozumie lepiej twoje miłe słowa". Lecz gdy przyglądałem się dziecku, obserwując je w ciszy, przypomniałem sobie moje najgorsze obawy i niestety zmieniły się one w pewność. Silny wstrząs, jakiego doświadczyła Ewa Meredith podczas ciąży, stał się fatalny dla jej dziecka i jedynie sama matka wskutek młodości przez miłość i brak doświadczenia mogła tak długo niedoceniać swego nieszczęścia.

W tym samym co ja czasie lady Mary oglądała dziecko. Nazajutrz po niespokojnej nocy kiedy zaszedłem do pokoju Lorda J. Kysingtona, była już tam zebrana cała rodzina: lady Mary trzymała na kolanach małego Williama — była jak tygrys, który trzymał swą zdobycz. „Jakie piękne dziecko, powiedziała, proszę popatrzeć milordzie, jakie ma jedwabiste blond włosy, jakby słońce użyczyło im swych brylantów!... Ale droga Ewo, czy twój syn jest zawsze taki milczący? Nie przejawia ruchliwości i wesołości typowej dla jego wieku?" — „On jest zawsze smutny, odpowiedziała pani Meredith. Niestety, będąc przy mnie nie mógł nauczyć się śmiać!" — „Postaramy się go zabawić, rozweselić — odpowiedziała lady Mary. Chodź, drogie dziecko, ucałuj swego dziadka! Wyciągnij do niego ręce i powiedz, że go kochasz". William się nie poruszył. — „Czy nie wiesz, jak się całuje? Harry, mój drogi, pocałuj wujka i daj dobry przykład kuzynowi". Harry wdrapał się na kolana lorda J. Kysingtona, zarzucił mu ramiona na szyję i powiedział: „Kocham cię, wujku!" — „A teraz twoja kolej, drogi Williamie" podjęła lady Mary. William pozostał nieruchomy, nie podnosząc nawet oczu na swego dziadka. Łzy popłynęły po policzkach Ewy Meredith. „To jest moja wina, odezwała się, źle wychowałam swoje dziecko!" (...). „On cierpiał jeszcze przed urodzeniem, szeptała, oboje byliśmy nieszczęśliwi! Lecz spróbuję już więcej nie płakakć, aby William mógł być wesoły jak inne dzieci."

Upłynęły dwa przykre dni, pełne skrywanych zmartwień, pełne ponurego niepokoju. Czoło Lorda J. Kysingtona było zatroskane, a jego spojrzenie pytające kierowało się ku mnie. Odwracałem głowę, by uniknąć odpowiedzi.

Rankiem trzeciego dnia lady Mary weszła wesoła z rozmaitymi zabawkami, jakie przyniosła dla obu chłopców. Harry przypasał sobie szabelkę i biegał po pokoju, wydając dzikie okrzyki radości. William pozostawał nieruchomy, trzymając w swych małych rączkach zabawki, które mu dano, lecz nie próbował zrobić z nich użytku, a nawet nie patrzył na nie.

— „Weźcie milordzie, rzekła lady Mary do swego brata, tę książkę z rycinami i pokażcie ją swemu wnukowi, być może, że go to zainteresuje z powodu różnego rodzaju obrazków, jakie w niej znajdzie." Poprowadziła dziecko do lorda, lecz ono, pozwalając wszystko ze sobą robić, pozostawało jak posąg tam, gdzie go umieszczono. Lord J. Kysington otworzył książkę i oczy wszystkich skierowały się w tym momencie na starca i jego wnuka. Lord był posępny, milczący i surowy. Odwracał wolno kolejne strony, zatrzymując się przy każdym obrazku i spoglądając na Williama, którego nieruchome oczy, nawet nie kierowały się w stronę książki. Lord J. Kysington odwrócił jeszcze kilka kartek i po chwili jego ręka znieruchomiała, książka spadła z jego kolan na podłogę i w pokoju zapanowała ponura cisza.

Lady Mary zbliżyła się do mnie, pochylając się tak, aby móc powiedzieć mi do ucha, lecz odezwała się tak głośno, że wszyscy mogli to usłyszeć: „Ależ doktorze, to dziecko jest idiotą!"

Odpowiedział jej krzyk Ewy, która podskoczyła, jakby w nią trafił piorun; schwyciła swego syna, przyciskając go do piersi konwulsyjnie, i krzyknęła: „Idiota!" A jej spojrzenie po raz pierwszy błysnęło żywszym blaskiem. — „Idiota" — powtórzyła — „bo był nieszczęśliwy przez całe swe życie, bo gdy tylko

zaczął patrzeć na świat, widział tylko łzy! bo nie potrafi bawić się tak jak pani syn, który zawsze wokół siebie napotykał radość! Och! Pani urąga nieszczęściu! Chodź, chodź moje dziecko! — zawołała Ewa cała we łzach. Chodź, odejdźmy stąd, gdzie są serca bez litości, które mają tylko słowa pogardy dla naszego nieszczęścia!"

I biedna matka, zabierając ze sobą dziecko, szybko odeszła do swego pokoju, a ja za nią podążyłem. Postawiła Wiliama na podłodze i klęcząc przed nim wołała: „Mój synu! Mój synu!"

William zbliżył się do niej, oparł głowę na jej ramieniu. „Doktorze, krzyknęła, on mnie kocha, czy pani widzi? Doszedł do mnie, gdy go zawołałam. On mnie całuje! (...). Teraz, Williamie, trzeba, abyś zaczął mówić! Czy nie widzisz moich łez i przerażenia? Kochane dziecko, jesteś tak piękne, tak bardzo podobne do twego ojca, mów, przemów do mnie!" Niestety, dziecko pozostało nieruchome, bez lęku, nie przejawiając oznak inteligencji, jedynie uśmiech, ten straszny uśmiech zawisł na jego ustach. Ewa ukryła swą twarz w dłoniach i pozostała klęcząc na podłodze. Długo mogłem słyszeć jej szlochanie (...).

Straszny wstrząs, było to przeżycie zabijające. Ewa Meredith zaczęła rozumieć straszną prawdę. Poczynając od tego dnia, tylko jedno dziecko zjawiało się w pokoju lorda J. Kysingtona. Przychodziły obie kobiety, lecz tylko jedna z nich wydawała się żyć, podczas gdy druga milczała jak martwa. Jedna z nich mówiła: „Mój syn", a druga nie mówiła nigdy na temat swego dziecka. Jedna chodziła z wysoko podniesionym czołem, druga trzymała głowę pochyloną, aby ukryć płynące po twarzy łzy. Jedna była ślicznie ubrana i błyszczała elegancją, a druga blada i w czerni. Walka była skończona i lady Mary triumfowała.

Upłynął w ten sposób rok i lord Kysington zdecydował o powrocie do Londynu, ofiarowując swą gościnę Ewie. Spadkobiercą wyznaczył swego bratanka. Ewa podziękowała za ofiarowaną jej gościnę i powróciła do swego małego domku. Doktor Barnaba wrócił razem z nią. Ewa skoncentrowała wszystkie siły, by wyrwać dziecko z jego niebytu.

Próbowała działać wszystkimi dostępnymi jej środkami, prowadziła zajęcia według pierwszych lekcji dla najmłodszych dzieci, czytała książeczki swemu synowi, rozmawiała z nim, pokazywała obrazki, wykorzystywała nie tylko słowa, ale i muzykę. Pewnego dnia, zdobywając się na straszny wysiłek, opowiedziała Williamowi o śmierci jego ojca spodziewając się, że to wywoła jego łzy. Tego ranka, gdy opowiadała wszystko swemu dziecku, ono zasnęło, a łzy popłynęły z oczu Ewy Meredith.

W tej wytrwałej walce wyczerpała wszystkie siły. Pracowała, aby móc ciągle mieć nadzieję. Tymczasem dla Williama obrazki były tylko kolorami, w jego uszach wypowiadane przy nim słowa były pustymi dźwiękami. Dziecko rosło i stawało się cudownie piękne. Gdy przez chwilę znikał z pola widzenia, przypominano sobie niewzruszony spokój jego twarzy, lecz ten przedłużający się spokój, brak wszelkiej troski, brak łez, dawał w efekcie dziwny i smutny obraz. Cierpienie jest chyba nierozłącznie związane z naturą ludzką, a wieczny uśmiech na twarzy Williama zdawał się wszystkim mówić „Biedny idiota!" (...).

Niestety William zadowalał się wszystkim. Wydawało się, że przez cały dzień śpi z otwartymi oczami. Nie przyspieszał kroku i nie odwracał się, nie uciekał przed niebezpieczeństwem. Nigdy nie okazywał znudzenia lub zniecierpliwienia, czy też gniewu. Jeśli nie potrafił podporządkować się słowom, które do niego kierowano, to był posłuszny ręce, która go prowadziła. W tej naturze pozbawionej wszelkiego oświecenia, istniał tylko instynkt: rozpoznawał swą matkę, a nawet ją kochał. Lubił opierać się na jej kolanach, na jej ramionach i całował ją. Gdy pozostawał długo oddalony od niej, stawał się niespokojny, co przejawiało się w jego ruchach. Przyprowadzany do mamy nie okazywał żadnej radości, lecz stawał się spokojniejszy. Ta czułość, ten słaby promyk serca Williama, były dla Ewy całym życiem.

W ten sposób upływały lata dzieciństwa Williama i osiągnął wiek lat ośmiu. Wówczas w Ewie dokonała się smutna zmiana, która nie umknęła mej uważnej obserwacji. Przestała już mieć nadzieję albo wskutek tego, że chłopiec znacznie podrósł i brak inteligencji stawał się bardziej wyraźny, bądź tak jak robotnik, który pracując przez cały dzień, wieczorem pada zwyciężony zmęczeniem, tak dusza Ewy wydawała się odmawiać sił i nie chciała kontynuować podjętej pracy, pogrążając się w swym nieszczęściu, i nie żądając niczego więcej od nieba jak rezygnacji z wysiłków. Pozostawiła jako bezskuteczne wszystkie książki, ry-

ciny, muzykę, wszystkie środki, które wykorzystywała dla swego celu, stawała się milcząca i pokonana. Jedynie dla swego syna, gdy tylko to było możliwe, stała się jeszcze bardziej czuła. Gdy zrozumiała, że winna stworzyć dziecku szansę, aby mogło wejść w świat, pozyskać przyjaciół i zdobyć jakąś pozycję, jednocześnie poczuła, że dziecko posiada ją tylko na tej ziemi. Zaczęła liczyć na cud i jeszcze bardziej niż dotąd zaczęła obdarzać dziecko miłością. Stała się niewolnicą i służką swego dziecka; całą duszą pragnęła uchronić go przed cierpieniem, przed czymkolwiek szkodliwym. Gdy promyk słońca padał na głowę Williama, wstawała, zaciągała zasłonę, aby ochronić syna przed zbyt silnym słońcem. Jeśli czuła, że robi się zimno, to przede wszystkim przygotowywała dla Williama cieplejsze ubranie, gdy odczuwała głód, to w pierwszym rzędzie William otrzymywał owoce w ogrodzie, gdy była zmęczona, to jemu przysuwała duży fotel i miękkie poduszki. Wydawała się żyć po to, by odgadywać doznania swego syna. Była to pozorna aktywność raczej niż nadzieja.

Lecz William osiągnął wiek lat jedenastu i wtedy zaczęła się ostatnia faza egzystencji dla Ewy Meredith. William, który wyrósł i zmężniał ponad swój wiek, nie przejawiał już tych potrzeb, które zaspokaja się w pierwszych latach życia. Nie było to już dziecko, które zasypiało na kolanach swej matki. Przechadzał się po ogrodzie, jeździł ze mną na koniu, towarzyszył mi także w wyprawach górskich. Był jak ptak, który, choć pozbawiony skrzydeł, jednak opuszczał swe gniazdo.

Nieszczęściem dla Williama było to, że swym wyglądem nie stwarzał podstaw, by sądzić, że jest z nim coś nie tak jak trzeba. Był to młody, piękny chłopiec, którego spojrzenie wyrażało spokój, był milczący, z jego ust nie znikał uśmiech. Nie był niezgrabny ani natrętny, był jak duch, który towarzyszył komuś drugiemu, nie stawiał żadnych pytań, ani nie udzielał żadnych odpowiedzi. Pani Meredith nie pozostawało nic innego, jak tylko zajmować się swym nieszczęściem i czynnościami należącymi do matki, która pełni jeszcze funkcje piastunki (...).

Powoli zaczęło jej wszystkiego brakować — zarówno nadziei, jak i sił do wykonywania opieki nad dzieckiem. Cały czas przeznaczała na to, by czuwać nad nim, z bliska i z daleka, po wypróbowaniu wszelkich wysiłków bezowocnych, w dzień i w nocy; była jak lampka świecąca pod sklepieniem kościelnym.

Lecz siły jej były już wyczerpane. Będąc pogrążona w swym bólu, wracając do punktu wyjścia do ciszy i bezruchu, po wykorzystaniu działań, po chwilach nadziei i odwagi, Ewa Meredith doprowadziła się do całkowitego wyniszczenia. Mimo że starałem się użyć wszelkich środków mej sztuki, mogłem tylko obserwować, jak staje się coraz bardziej wątła i słaba. Skąd można wziąć lekarstwo, jeśli dusza jest chora? (...)

Doktor napisał list do lorda J. Kysingtona, aby poinformować go o stanie zdrowia jego synowej. Lord wraz z lady Mary przyjechali w dniu śmierci Ewy i widzieli ją umierającą, zdesperowaną, że zostawia swego syna bez opieki.

Umierała w obecności tych, którzy aż do końca odmówili podania jej pomocnej dłoni, umierała nie stwarzając dla lady Mary zagrożenia, że przez swą prośbę mogłaby cofnąć już ogłoszone postanowienie, umierała zostawiając lady Mary całkowite i ostateczne zwycięstwo.

Zapadła chwila uroczystej ciszy, nikt nie poruszył się ani nie powiedział słowa. Powaga śmierci pochyliła w zadumie najdumniejsze czoła. Lady Mary i lord J. Kysington ugięli kolana przy łóżku ich ofiary. Po kilku minutach lord J. Kysington podniósł się i, zwracając się do mnie, powiedział: „Zabierzcie to dziecko z pokoju matki i chodźcie ze mną doktorze, wyjaśnię panu moje intencje związane z nim".

Zaledwie przed dwoma godzinami William znajdował się w objęciach swej matki, serce przy sercu i z twarzą przy twarzy, odbierając zarazem jej pocałunki i łzy. Zbliżyłem się do Williama i bez zbędnych słów usiłowałem go wyprowadzić z pokoju matki. Lecz William stawił opór i jego ramiona jeszcze mocniej przycisnęły matkę do serca. Ten opór, który po raz pierwszy w swym życiu to biedne dziecko przejawiło, wstrząsnął mną do głębi duszy. Gdy ponowiłem wysiłki, William zaprzestał się opierać i zobaczyłem jego piękną twarz całą we łzach, a przecież nigdy przedtem William nie płakał. Jego żywa emocja udzieliła się i mnie i zostawiłem dziecko, które na nowo przylgnęło do ciała swej matki.

— Zabierzcie je wreszcie — powiedział lord J. Kysington.

— Milordzie, on płacze! — wykrzyknąłem. Och, pozwólcie mu się wypłakać!

Pochyliłem się ku dziecku i usłyszałem jego szlochanie. — Williamie, mój drogi Williamie! zawołałem do niego z niepokojem i biorąc go za rękę zapytałem, dlaczego płaczesz. Po sekundzie William odwrócił się do mnie i spojrzał łagodnie z bólem w oczach:

— Moja matka umarła — odpowiedział.

Nie można słowami oddać tego, czego doświadczyłem. Oczy Williama wyrażały inteligencję, łzy nie płynęły przypadkowo, a jego głos był załamany cierpieniem. Krzyknąłem i zgiąłem kolana przy łóżku Ewy. „Och! — zawołałem — miała pani rację, Ewo, nie można tracić nadziei w łaskę nieba!" Lord J. Kysington sam drżał ze wzruszenia, a lady Mary była tak blada jak zmarła Ewa. — Moja mamo, moja mamo! — krzyczał William z akcentem, który wypełniał moje serce radością. A potem powtarzał słowa Ewy Meredith, które od niej usłyszał i które odnalazł w głębi serca, mówiąc: „Ja umieram, mój synu, twój ojciec już umarł, pozostajesz sam na tej ziemi, trzeba modlić się do Pana!" (...)

Później, odzyskując swe prawa, stał się jedynym spadkobiercą majątku rodziny.

Nauka potwierdza istnienie kilku rzadkich przypadków inteligencji reanimowanej przez gwałtowny wstrząs duchowy. A zatem opowiadane przeze mnie fakty znajdują naturalne wyjaśnienie. Lecz zacne kobiety ze wsi, które pielęgnowały Ewę Meredith podczas choroby i słyszały jej gorące modlitwy, są przekonane, że to, o co błagała w swych modlitwach, zostało przez niebo wysłuchane i dusza matki przeszła do ciała jej dziecka (...).

Gdy stary doktor Barnaba rozstał się z zebranymi i odjeżdżał swą wiklinową bryczką, pani Moncar zawołała do niego: „Doktorze, ofiarowuję panu na własność biały dom i zarządzę, by pozostał taki sam, jakim był wówczas, gdy pan kochał Ewę Meredith!"